

## Rozrusznik

*/ On*

Pierwszy oddech drugiego życia przegryza się przez światło tchawicy, okleja ją sadzą i spływa do twoich płuc gęstym miazmatem. Czujesz, jak trzydzieści tysięcy oskrzelików, jeden za drugim, budzi się do życia kluciem; być może w proteście przeciw tak miernej ilości O<sub>2</sub> ukrytego w zalewie smolistych substancji.

Mimo to oddychasz.

Żyjesz.

Strzępki euforycznych wizji słanych przez endorfiny rozmazują się, gdy z wolna dotlenia się kora mózgową, jak gąbka wchłaniająca cząsteczki produkowane przez każdy twój rżący wdech...

(i wydech... wdech... i wydech... wdech...)

Odruchy wpojone w pamięć mięśniową przepony.

To jeszcze pamiętasz. Tego się nie zapomina.

Ale co poza tym?

Kim jesteś?

Co tu robisz?

Dlaczego byłeś martwy?

Na te pytania nie znajdujesz odpowiedzi w opustoszałych bankach pamięci. Pokancerowany hipokamp, centrum dowodzenia przeszłością, zgubił gdzieś chyba kopię zapasową...

(błąd 404: zasobów nie znaleziono – spokojnie, to tylko awaria, drobny wyciek wspomnień, tabula rasa, Elvis opuścił budynek...)

I nikt ci nie zdradzi, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

Nie, kiedy wokół są tylko Oni.

Podnosisz ociężałą głowę i rozglądasz się po okolicy zza wyschniętych na wiór spojówek. Z poziomu asfaltu widzisz niewiele: wyrwa w ulicy w kształcie wyrwy w ulicy, gruz z zasady bezkształtny, wędrownie chmury pyłu, dopalające się truchło samochodu kierowane ku zapomnieniu przez szerniały szkielec.

Oraz stopy. Setki par stóp obutych i bosych, filigranowych i platfusów, pięciopalczastych i wybrakowanych. Stopy przesuujące się wolno w najdziwniejszych kierunkach oraz stawiane pod kątami cokolwiek nieeuklidesowymi.

To właśnie Oni – przypominasz sobie z trudem. Oni rzeżą tak samo jak ty, a mimo to są jacyś inni, bardziej... bardziej bezmyślni, pozbawieni celu, kierowani przez instynkty pożywiania się i reprodukcji.

Dlaczego nie jesteś taki sam jak Oni? W końcu i z ciebie wygryźli należny im funt ciała, wpuszczając w krwiobiegu wirusowo-bakteryjny jad pandemii.

A mimo to trzymasz się tego życia po życiu kurczowo jak giez psiego ogona.

Oddychasz.

Myślisz.

Czujesz.

Dlaczego wciąż czujesz strach?

Z czworaków dźwigasz się na pokraczne nogi i wycofujesz się rakiem w ciemny kąt, sztywny niczym słabo naoliwiona maszyna. Karmiona tlenem jednostka centralna pracuje na resztkach wetware'u, ale nie wszystkie podprogramy chcą się załączyć. Przepalone ścieżki nadnerczy nie załączają epinefryny; nie słyszysz buzowania w uszach, które powinieneś w tym bądź co bądź przerażającym położeniu, w samym środku wygłodniałej trupiej hordy.

Jesteś raczej senny. Letargiczny. W trybie czuwania, oszczędzania energii. Standby.

Ale z całą pewnością nie jesteś jeszcze martwy. Nie, póki serce w piersi nie stanęło ci w słup...

(łup... łup... łup... łup...)

Przesuwasz dłonią po zimnej skórze, termicznie zespolonej z otoczeniem, z uśrednioną temperaturą wszechświata. Gdzieś na piersi opuszki zagłębiają się w wąskiej dolinie. Czytasz tę kartę z przeszłości, tę księgę przebytych chorób spisaną chirurgicznymi nacięciami w miernej parodii Braille'a.

Jest tam.

Tuż pod skórą, w okolicy obojczyka, nad wrywającym się sercem: maleńki pikający silniczek, który narzuca mu rytm i stymuluje jego pracę. Wciąż działa, nawet pomimo tego, że już raz umarłeś, kiedy Oni dopadli cię na ulicy i wbili w ciebie swe brudne szczęki.

Dopadli, gdy jechałeś... tym, jak on się nazywał? A tak, volkswagenem.

Jechałeś nim... Dokąd właściwie?

Zastanawiasz się, wysilasz gąbczaste szare komórki, a tymczasem twój nowoczesny plug-in piszczy i prześwieca przez skórę czerwoną, ostrzegawczą diodką.

Pocierasz jego wybrzuszenie.

Czy nie jechałeś właśnie go wymienić?

Wszczepić sobie nowe... nowe... baterie?

Jezusie Nazareński, przecież nie chcesz być taki jak Oni! Nie chcesz przemienić się w bezmyślne zwłoki, reanimowane wyrokiem jakiejś mrocznej siły do szwendania się i podgryzania niewinnych!

Chcesz myśleć!

Chcesz żyć!

Żyyyyyyyyy!!!

Coś budzi się w twoim umyśle na ten bezgłośny krzyk, odblokowuje zator w synapsach. Słyszysz głos w głowie (normalna sprawa, w końcu każdy by oszalał, spoko luz), głos jakby znajomy, łagodny, rzeczowy:

– ... i niech pan pamięta, że ruch to zdrowie. Żywotność baterii znacznie się zwiększa przy aktywnym trybie życia. Stymulator ma taki dodatkowy mechanizm, jak samonakręcający się zegarek. Można powiedzieć, że póki pan chodzi, on także będzie „chodził”, ho, ho...

... ho... Chodzić.

Iść.

Ruszać się.

Tego ci właśnie trzeba!

Ostrzegawczy sygnał przybiera na sile. Ale nadal nie jesteś w stanie drgnąć.

Bo tak prawdę powiedziawszy, czy nie lepiej zginąć ci tu i teraz? Usiąść i zapłakać, położyć się i umrzeć? Jaka cię czeka alternatywa, jeśli postanowisz dalej ciągnąć tę nienaturalną egzystencję?

Może wynajdą na to lekarstwo, antidotum, odtrutkę – przekonujesz się. Śmierć to w końcu taka zaawansowana choroba. Życie też: przenoszona drogą płciową zaraza (ktoś to powiedział, ale nie pamiętasz, kto). Może więc i na ten stan półżycia uda się coś wynaleźć. Szansa jak jeden do tryliona. Z drugiej strony, równie dobrze możesz być jedyną świadomą istotą w zalewie bezmyślnych trupów.

Nie będziesz wiedział. Dopóki czegoś nie zrobisz.

Dopóki się nie ruszysz.

Tkanka chrzęstna chrupie w łąkotkach, gdy stawiasz pierwszy zdecydowany krok. Zgęstniała śródchłonka chlupie w błędniku, leniwa jak melasa, nie zaburza jednak równowagi, póki ruszasz się w miarę wolno; póki nie przechylasz się na boki jak naćpany pingwin.

Wkrótce łapiesz rytm, a po dłuższej chwili – gdy do ścierpniętej prawej nogi autostradą zwapniałych tętnic i przez bramki zastawek wraca krążenie – zyskujesz także większą mobilność. Urządzenie w piersi przestaje słać alarmy pierwszego stopnia: jesteś teraz samonapędzającą się machiną, na stałe splecioną z tym maleńkim podzespołem. *Perpetuum mobile*. Poruszasz się dlatego, że ładunki stymulują ci serce, a stymulują je dlatego, że się poruszasz, nakręcając baterijkę.

Musisz więc iść, nawet jeśli łamie to wszelkie logiczne i naturalne prawa...

(lewa... prawa... lewa... prawa...)

Przynajmniej dopóki nie znajdziesz sobie zastępczej baterii; alternatywnego źródła zasilania.

Na przekór temu, co zawsze widziałeś w filmach, skręcasz tam, gdzie jest Ich najwięcej; tam, gdzie stężenie pośmiertne na metr kwadratowy gwarantuje nieprzetrzebione sklepowe półki.

Mijas Ich twarze:

nabrzmiałe żółcią czoła,

zaropiałe ślepia,

zapadłe policzki,

przegniłe pieńki zębisk obok sinych ozorów.

Zastanawiasz się, czy i ty wyglądasz tak odrażająco.

I zaraz sobie odpowiadasz: pewnie tak, gdyż ta banda wskrzeszonych Łazarzów nie rzuca się na ciebie, uznaje za jednego ze swoich, akceptuje. Mimo to brak ci odwagi, aby przejrzeć się w którejś z mijanych szyb i zlikwidować wszelką wątpliwość.

Z każdym krokiem jest Ich wokół ciebie coraz więcej i więcej.

Kłębią się, przepychają, splatają w jedno.

Jeden umysł. Tysiące ciał.

Może jednak powinieneś krzyknąć? Może powinieneś zdzierać gardło, wołać pomocy? Albo lepiej: powywracać te nieruchawe truchła i ułożyć z nich ogromny znak S.O.S. – taki, aby objął całą Ziemię, całą tę skażoną planetę:

„S.O.S. Ziemia”.

„Halo, czy jest tam kto?”

„Pomóżcie nam, Marsjanie”.

„Zrobił nam się zator z krainie umarłych i dusze zawracają do ciał. Tanatos tkwi gdzieś w uwięzi, Charon zgubił klucze od Bramy, a Śmierć wyleciała na zasłużone wakacje. Może na malowniczy Mauritius: tam swego czasu wyróżnęła do nogi cały gatunek drontów dodo. Ten klimat, moc wspomnień, all inclusive... no, sami rozumiecie”.

„W każdym razie, pomocy! Pomocy!”

„Ślemy wam sygnały”.

„Trzy kropki (odcięte głowy), trzy kreski (oderwane kończyny), trzy kropki (jeszcze więcej odciętych głów)”.

„Mayday! Mayday!”

„S.O.S.”

Chociaż z drugiej strony, może lepszy byłby znak STOP?

Napierają na ciebie zmurszałymi cielskami, szturchają, potracają. Postludzie. Wyroby człowiekopodobne. Próbujesz się odezwać, powiedzieć coś do Nich. Może któryś jest taki sam jak ty. Może któryś cię zrozumie.

Spróbować nie zaszkodzi.

Nabrzmiała gęstwa w gardle drży pod naporem powietrza sączącego się z płuc, gdy wyrzucasz, wymiotujesz z siebie niemalże:

– Blargh! – Jeszcze raz, mocniej: – Bhah... terrrrr... jje!

Szczek i warkot.

Piana i flegma.

Jak u wściekłego psa.

Krzywisz się z niesmakiem. Myślisz sobie, że gdybyś był postacią w komiksie, dymek z kwestią uleciałby ci z ust cały pocięty, poszarpany i nierówny, z ociekającą mazią czcionką. Coś jak Snoopy dziabnięty przez wilkołaka.

Jezu, skąd ci się nagle wzięły te skojarzenia?

Ach, to tylko wiatr zawiewa gazetami i magazynami z rozbitego jak skarbonka kiosku, wokół którego orbitują Oni. Strony komiksów zwijają się w żagle i odpływają z powiewem, daleko od zła i zepsucia.

Nic takiego, tłumaczysz sobie, czując ostre ukłucie w piersi. To tylko podskórna zazdrość.

Ocierasz kołącą brodę z piany i próbujesz jeszcze raz:

– Bhah! Terrr! Jje!

Nic z tego. Ten sam zapisany w fałdach przedsiódkowych warkot.

Tylko że tym razem nie pozostaje bez odzewu.

Oni odwracają się w twoim kierunku, długo mierzą cię mlecznobiałym bielmem oczu. Obce rżenie przypomina im nieco Słowa. Język Ludzi. Rozpatrują ten fakt w głębi swych organów, odbijając piłeczkę między dwiema szarymi komórkami jak w starej grze.

Ping, pong. Ping, pong.

Żywy, martwy.

Obcy, swój.

Wróg, przyjaciel.

Kto? No kto?

O nieee, nic tu po tobie. Instyktownie przyspieszasz kroku, wymijasz objającą się o siebie grupkę.

Trudno, nie udało się. Ale nie możesz się teraz zatrzymywać. Nie, kiedy wiesz już, że na sto procent jesteś sam jak palec – zawieszony pomiędzy dwoma stanami.

Wzrok wbijasz przed siebie. I idziesz, a mentalny krokomierz odmierza każdy nadprogramowy ruch twego ciała, zupełnie jakbyś żył teraz pożyczonym życiem i jakbyś ostatecznie musiał spłacić ten dług z nawiązką. A Oni chwilowo zostawiają cię w spokoju.

Pięć tysięcy dwieście trzynaście kroków – w dół zniszczonego bulwaru, przez karambol na skrzyżowaniu, na skos ogromnego parkingu – i docierasz w to na w pół zapamiętane miejsce. Wnętrze sieciowego hipermarketu nie zmieniło się za wiele: wciąż pełno tu smutnych postaci, błądzących sennie po alejkach albo tępo wpatrzonych w zastawione produktami półki. Brak tylko monotonnego pikania skanowanych kodów kreskowych i próśb o pin-zielony. Jedynymi dźwiękami są szuranie Ich stóp oraz wszechobecne rżenie.

Przechodzisz przez zepsute drzwi z fotokomórką.

Mijas po lewej skrzynki pełne zgniłych, sfermentowanych owoców, po prawej zapleśniałe bochny chleba, pośrodku zaś ogromną plamę zakrzepłej krwi zwieńczoną białą jak śmierć odgryzioną ręką.

Myślisz sobie, że to całkiem stosowny tryptyk dla całej tej tragedii: zgnilizna, krew i pleśń.

Ciebie jednak nie interesują ani zakazane owoce, ani powszedni chleb żywych, ani mięsna dieta nieumarłych.

Ty jesteś teraz duchem w maszynie i maszyną w ciebie.

Pół-człowiekiem. Cyborgiem.

Interesuje cię energia uzyskana z ogniwi alkalicznych, którą zaprząc mógłbyś do pracy na rzecz zasilania swych tłoków i przekładni.

Wleczesz się więc do ostatniej alejki, brodząc przez morze rozlanej maślanki, w której tapla się jeden z Nich, nie mogąc powstać na swą pokiereszowaną nogę. Wypatrujesz na półce czteropaki podługowatych przedmiotów – paluszków, które mogłyby dźgnąć twoje serce i zmusić je do działania bez ciągłej potrzeby ruchu.

– Bhahterrrrrjje! – charczysz triumfalnie.

Czym prędzej rozrywasz paczuszkę zębami, wyciągasz jedną baterijkę. Spoglądasz na wyrzucenie na pierś, gładzisz je w zamyśleniu, ale... ale...

Ale nie robisz nic.

Bowiem przedzewiałe zwoje skręcają się na powrót w coś na kształt rozsądku i nagle już wiesz.

Nagle pamiętasz.

Nagle rozumiesz, jak głupi byłeś, myśląc, że w ten sposób rozwiązesz swój problem.

Jechałeś przecież autem do lekarza, kardiologa-specjalisty, na wymianę tej przekłętej baterii. Miałeś ją w pierś od dobrych dziesięciu lat! Tak żywotne ogniwa nie kryją się w durnych paluszkach AAA o napięciu półtora wolta! Nie jesteś nadpobudliwym króliczkiem ze starej reklamy – bateria w plecy i jedziem z tym śledziem! Nie, nie – ty potrzebujesz czegoś lepszego. Czegoś o wiele bardziej specjalistycznego, medycznego.

Czegoś, czego nigdy nie znajdziesz.

Bo nie wiesz nawet, jak wygląda.

Ramiona opadają ci same; baterijki lecą na podłogę. Toczą się swobodnie aż do maślankowej kałuży, w której nieudolnie szamocze się żywy trup, jak przewrócony na pancierz żuczek.

Rozruchowy plug-in znów zaczyna pikać spod skóry na klatce piersiowej. Jest głodny. Domaga się swojej porcji nakręcających go do działania wstrząsów. Łaknie ruchu.

Idziesz więc dalej, ruszasz przed siebie w niewiadomym kierunku.

Taka jest teraz twoja dola.

Musisz iść – jednak iść, przecież iść, będziesz iść – aż z butów zostanie już tylko cholewa...

(prawa... lewa... prawa... lewa... prawa...)

\*

(Dokąd tak idziesz, martwy i niepogrzebany? Quo vadis? Przez opuszczone miastowidmo, gdzie wszystkie zaułki są błędne; gdzie każda uliczka ślepa? Jaki możesz mieć cel, sens życia po życiu, kiedy cudem oszukałeś ostateczne przeznaczenie? Nie nieśmiertelny, a bezśmiertny. Nie żywy, a nieumarły... Już ledwo sapiesz, już ledwo zipiesz – puff, jak gorąco! – jak żółw ociężałe, kuśtykasz to, tak to to, tak to to, tak... Dokąd ciągniesz te mięśniowe wagony, jeśli nie do światelka na końcu tunelu? W nicość? W pomrokę? Przygryzasz bezwiednie wewnątrz policzka. Może to Ichnie patogeny szepczą ci do ucha, byś pożerał czyjeś ciało, obojętnie czyje, byleby tylko pochłaniać; byleby żreć, mimo że wątpia dawno już przestały się ruszać. Chwilowo zadowolasz się swoim. Zjadasz sam siebie od środka. Jak zaklęty w czasie, przeklęty głodem Uroboros, zwinięty w koło wieczności – toczysz się, katulkasz. Para buch, koło w ruch...)

(łup, łup... łup, łup...)

(lewa... prawa... lewa... prawa...)

\*

Restartuje cię krzyk.

Gdzieś w odmętach swego umysłu zaprogramowany jesteś, aby aktywować się głosowo – aby załączać interfejs, gdy tylko pochwycisz uchem charakterystyczny wysoki ton. Do tej pory był to zazwyczaj poranny wrzask budzika, nieodmiennie o 07:30:00 (GMT+1), idealnie wpasowany w cykl biologiczny, poziom melatoniny i szyszynkę.

Wtedy również przypominałeś jednego z Nich, ślizgałeś się po tym samym algorytmie dzień w dzień: wstań, pożyw się, wyczyść zęby, wypróżnij się, jedź do pracy, pracuj, nie myśl, pracuj, nie myśl, pracuj, pracuj, pracuj, jedź do domu, pożyw się, wpatruj się w ekran do przekrwienia gał, wpatruj się w ekran do śnieżenia obrazu, wypróżnij się, obmyj się, wyczyść zęby, połóż się, śpij, hibernuj, nie myśl, nie śnij, nie czuj, nie czuj...

I tak aż do pobudki o 07:30:00 (GMT+1) w kolejny dzień świstaka.

Ctrl+C, Ctrl+V.

Kopiuj, wklej.

Zapamiętaj i powtórz.

Ale tym razem to nie jest monotonne dzwonięcie z głoścniczka twojej komórki.

Tym razem to głos wołający o pomoc.



Rozglądasz się za źródłem dźwięku, nie bardzo wiedząc, gdzie się znalazłeś; jak daleko zabrnąłeś w tym letargicznym zamroczeniu, na Ichnim autopilocie, sam na sam z myślami. Napędza cię maszyna, ale znacznie przestarzała, nieaktualizowana, bez luksusów geotagowania czy systemu GPS, bez automapki wyświetlonej na HUD-zie. Musisz więc polegać na starych dobrych soczewkach produkcji lokalnej, pięćset megapikseli w czopkach i pręcikach, rozmytych na dokładkę bezlitosnymi dioptrami oraz jeszcze mniej litościwym stanem pól życia.

Zapędziłeś się w tereny, które nawet bez powszechnej apokalipsy wyglądałyby na opuszczone: między post-industrialne ceglane molochy, które w jednym kawałku zdają się trzymać jedynie wyschnięta zaprawa, grube warstwy plakatów oraz mniej lub bardziej ambitne dzieła graffiti biegnące po ścianach pogiętymi czcionkami. Kilkanaście czerwonych haseł poniewczasie rozgłasza koniec świata i nadejście dni ostatnich. Zaśmiałyś się na ten widok, gdybyś tylko pamiętał, jak to się robi.

Krzyk się powtarza, tym razem nieco bliżej, odrywając twą uwagę od napisów. Po zawałonym gruzem placu kręci się Ich parunastu, jednak znacznie większa liczba ciśnie się do zaułka. Pełno tu takich mroczących się gąb ślepych uliczek. Ale tylko z tej jednej dobiega płaczliwe nawoływanie.

Wzrynasz się klinem, ile fabryka dała, w tę zbitą, przegniłą masę Ich, Onych, Tamtych – jakkolwiek ich nie nazwać – co do joty zjednoczonych rozkładem, zlewających się ropą i fetorami w jeden cmentarny koszmar.

Ale ty przecież jesteś wyjątkowy. Masz inny, niekompatybilny format dysku Z.

Ty się nie jednoczysz.

Nie czują tego, ale wystarczy, że sam gorąco w to wierzysz.

Dopóki bije twoje serce, nasycy cię tlenem, dopóty możesz być tym jednym, jedynym nanobotycznym leukocytem w zalewie wirusów i patogenów. Możesz uchronić cały organizm – ten jeden organizm, jaki tworzą wszystkie gatunki na Ziemi – przed infekcją nieznanego choróbska, o którym może i nie śniło się filozofom, ale fantatom i filmowcom owszem, i to w ilościach hurtowych.

Dzielnie przeciskasz się na front watahy.

I wtedy ją widzisz.

Już nie jest odległym głosem bez twarzy. Ma twarz; twarzyczkę w zasadzie: napuchniętą płaczem, mokrą od łez, czerwoną ze zmęczenia, ale gładką dziecięcą

niewinnością, o oczach tak jasnych, że aż wyblakłych, perkatym nosku, opadających na czoło celofanowych anielskich włoskach... słowem, Piękna w tłumie Bestii.

Powietrze wokół niej faluje od dyszanych w jej kierunku gorących pragnień:

„Priorytet pierwszy: Pożywić się”.

„Priorytet drugi: Zarazić i zwiększyć szeregi. Rozmnożyć się”.

„Wszystko za jednym kłapnięciem szczęk”.

„Jakie to proste, jakie przyjemne. Nawet przeżarty robactwem mózg jest w stanie pojąć coś tak niewymyślnego”.

Ale w tobie drzemie jeszcze jeden zwierzęcy instynkt, poza gadzim mózgiem:

Chronić młode.

Zachować ciągłość gatunku.

I nawet jeśli to nie jest twoje potomne, twoja krew z krwi i kość z kości, to w sekundę gotów jesteś dać sobie za nią upuścić tej obcej krwi i dać sobie strzaskać tę obcą kość.

Oni rzeżą i wyczekują czegoś, zbliżając się krok za krokiem coraz bliżej do dziewczynki. *Rigor mortis* niektórym z nich postawił w spodniach nieprzystające do sytuacji maszty erekcji. Wyglądają przez to niemal lubieżnie, zwłaszcza gdy ślinią się niepohamowanie. Zastrani zboczeńcy.

Mimo to czekają. Być może smakują ten moment zanim posmakują jej mięsa? Być może istnieje wśród nich jakaś hierarchia i pierwszy gryz należy do umarlaka alfa?

Kto to wie?

Na pewno nie ty.

Ty nie przejmujesz się niczym takim.

Ty nie czekasz.

Ty rzucasz się pierwszy w jej kierunku, wiedząc, że spróbuje cię odtrącić. Ale nie dajesz się. Ostatnia, leniwa kropla epinefryny skapująca z nadnerczy pomaga ci zachować ostrość umysłu. Przyciskasz ją do ziemi i przedzierzgasz się w żółwia, w nieopancerzony ludzki czołg. Ona kopie i wierzga – maleńkie piąstki uderzają niebezpiecznie blisko maszynerii rozruchowej – ale ty wiesz, że za nic w świecie nie możesz jej teraz puścić.

Bo oto Oni już wrywają się ze stuporu, nagle szybcy i martwi, z niespotykanym gniewem skaczą na twoje plecy, orają je brudnymi pazurami, kąsają łopatki, amatorskimi uciśnięciami przestawiają ci wszystkie kręgi, aż zgrzyta chrząstka.

Modlisz się tylko, żeby cię nie sparaliżowało.

Żeby serce nie wysiadło zawnazasu od tego koniecznego bezruchu.

Żebyś dalej mógł ją osłaniać.

Ona uspokaja się nieco, rozumiejąc, że chwilowo jest bezpieczna. Chlipie tylko cichutko i trzęsie się. Mruczysz jakąś melodię, do której nie jesteś w stanie przypisać ani słów, ani tytułu, ani żadnych konkretnych skojarzeń. Tylko ta melodia. Pewnie niezbyt kojąca, kiedy tak szarpiesz swe rozstrojone struny głosowe, kiedy rezonuje ci w pełnej flegmy krtani jak gardłowe śpiewy rodem z Tybetu. Ale przynajmniej zabija czas. Zabija strach. Zarówno ten jej, z każdą głoską malejący, jak i ten twój, z każdym uderzeniem serca rosnący, gdy sprężyna w twej piersi rozkręca się wolno jak w śmiertelnym minutniku.

Odliczasz w milczeniu:

Łup, łup, łup...

łup, łup...

łup...

łł...

Mija dokładnie trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt sześć uderzeń, nim słyszysz coś poza płaczem z jednej strony i zgrzytaniem zębów z drugiej. Jesteś już słaby – słaby wyczerpującą się energią, majaczący, niemrawy, ale pobliskie strzały i dzwonięcie łusek to akurat nie omamy, bojowe okrzyki i rozkazy to nie halucynacje.

Nagle ustaje rżenie wszelkie.

Przez zgniliznę przebija się ostra, żelazista nutka prochu.

Ktoś obraca cię, niezdolnego do ruchu, na plecy i uwalnia dziewczynkę z osobliwego sanktuarium „Pod Półzywym Nieumarłym”.

Śmieją się, padają sobie w ramiona, przytulają ze łzami w oczach.

A ty dyszysz ciężko na ziemi z półprzymkniętymi powiekami, jedną nogą w gęstej ciemności, z której już raz wychynałeś; która wypluła cię jak nieswojego z powrotem na ziemski padół.

Może to była jakaś forma Czyśca?

Może musiałeś coś jeszcze odpracować zanim wydadzą na ciebie wyrok brodaci święci i sądy ostateczne?

A może to jednak tylko przypadek, wypadkowa zbiegów okoliczności, które zbiegły się razem w coś na kształt cudu?

– Nie, tato, nie! Nie jego!

Mrugasz. Wpatruje się w ciebie cyklopowe ślepię obrzynu. Mężczyzna nie odejmuje broni.

– Co? Dlaczego? Ależ skarbie...

– On mnie uratował! Naprawdę! – piszczy obok ciebie jej słodki głosik. A może to już pianie niebiańskich zastępów?

– Jesteś... jesteś pewna, aniołku?

– Szła na mnie caaała zgraja! Tak bardzo się bałam, tato! A on się przepchał i skoczył na mnie. Myślałam, że będzie gryzał, ale on mnie tylko wtulił, żeby tamci nie gryzali.

Przez chwilę słyszysz szepty przetykane kilkoma podniesionymi głosami.

– Ale jak to, kurwa, możliwe?! – przebija się przez harmider.

– Nie no, to jest przecież...

– Te skurwysyńce nie myślą! Ino kasaają jak opętane!

Wiesz, że zostały ci już ostatnie iskierki energii, że ciągniesz na oparach, ale unosisz dłoń i kładziesz ją na piersi. Stukasz wymownie palcem w pikające cicho urządzenie, które zapewniło ci ten krótki okres drugiego życia.

– Baa... terr... jeee...

Nieustraszeni pogromcy trupów milkną, zdumieni. Ktoś pochyła się nad tobą; widzisz fragment zarośniętej, ale przyjaznej twarzy, błysk jasnych oczu (całkiem jak u córki), zwieńczającą to wszystko starą bejsbolówkę nad spotniałym czołem.

Charczysz, próbujesz zwrócić jego uwagę.

Ale to nie ma znaczenia. On już widzi. Jego oczy rozszerzają się w nagłym zrozumieniu.

– Kogo mamy w obozie z naukowców? – pyta prędko mężczyzna.

– Mamy tego chirurga, Krysiaka – odpowiada głos z tłumu zbrojnych. – Marysię, chemiczkę. Paru inżynierów, ale nie wiem, od czego...

– Nieważne, wezwijcie ich wszystkich! I pomóżcie mi przenieść tego tu. Szybko!

Ktoś kontaktuje się przez walkie-talkie, zawiadamia obóz.

Ale dla ciebie to już nieistotne.

Ty komunikujesz się z wyższymi kanałami nadawania i nie masz jak przekazać tym maluczkim na ziemi, że aby przeżyć, musisz się ruszać. Że jesteś *perpetuum mobile*, dzielną małą ciuchcią.

Kładą cię na nosze. To tak jakby kładli cię na mary.

Wyrok śmierci.

Koniec trasy.

Bez odbioru.

Game over.

Ale nie jesteś na nich zły. Ani, ani. Być może właśnie przyczyniłeś się do tego, aby raz na zawsze pozbyć się przeklętych Ich z tego świata. Wysłałeś impuls w ten ziemski organizm – impuls, który na nowo rozrusza serce wszechistnienia.

Spełniłeś swe zadanie i nadszedł czas na odpoczynek...

(wszystkie procesy i podprocesy zakończyły działanie, można teraz bezpiecznie wyłączyć maszynę...)

Bowiem równowaga w przyrodzie musi zostać zachowana. Tak jak dwukrotnie budziłeś się do życia, tak teraz, by dopełnić się zakodowane w komórkach przeznaczenie, musisz umrzeć po raz drugi.

Trzeciego życia już nie będzie.

*/ Off*